



Kartki z dziejów bychawskiej oświaty

Mieczysław Kuna

Zapomniana reduta polskości w czasie okupacji czyli Szkoła Spółdzielcza w Bychawie 1941/42 (cz. 1)

Dzięki kontaktom z dawnymi bychawianami, mieszkającymi w różnych stronach Polski, a nawet za granicą, udało się zebrać materiał wspomnieniowy o Szkole Spółdzielczej dla Dorosłych w Bychawie nadesłany przez byłych uczniów i nauczycieli szkoły oraz ich rodziny. Rozpoczynamy druk kilkuczęściowego szkicu, zachowując autentyzm i klimat tej swoistej retrospekcji i licząc na zainteresowanie naszych czytelników.

Redakcja

Ważne, aby o tej Szkole pamiętać – podaje jej absolwent **Mieczysław Kuna**, mieszkaniec Warszawy.

I. Zaproszenie Pani Marii Dębowczyk, Prezes Bychawskiego Towarzystwa Regionalnego, do opisanie działalności funkcjonującej w czasie okupacji niemieckiej, m.in. w Bychawie, Jednoroocznej Szkoły Spółdzielczej dla Dorosłych, przyjąłem z zadowoleniem i, nie wstydząc się tego, z wielkim wzruszeniem. Są bowiem po temu co najmniej dwa ważne powody.

1. Pierwszy powód to okoliczność, iż mimo upływu ponad 60 lat od powstania tej Szkoły, istnieje wśród mieszkańców Bychawy niedosyt informacji na ten temat oraz szerszej, rzeczowej relacji, a także niezrozumienie idei powołania tej placówki.

Dobrze więc się stało, że Bychawskie Towarzystwo Regionalne zainteresowało się losem tej Szkoły. Uważam bowiem, iż należy dołożyć jak najwięcej starań, ażeby ocalić od zapomnienia niepowtarzalne, wręcz unikatowe, formy działania owej Szkoły, i to w koszmarnych warunkach okupacji.

Charakterystyczne dla tej Szkoły było to, że jej działalność przebiegała w potrojnym

Lekcja w Szkole Spółdzielczej

Fot. ze zbiorów Jadwigi z Luterków Cholewskiej i Mieczysława Kuna



nurcie ściśle ze sobą powiązanych celów, które wzajemnie się uzupełniały i wspierały. I tak oficjalny, bo uzgodniony z niemieckimi władzami okupacyjnymi, program nauczania przedmiotów fachowych, przeznaczonych dla przyszłych lub aktualnych pracowników spółdzielni spóżywców, został znacznie rozszerzony o tematykę społeczno – gospodarczą. Prowadzona była jednocześnie, już bez uzgodnienia z władzami, działalność kulturalno – oświatowa, a całkiem nielegalnie i w konspiracji – na rzecz wolnej Polski.

Ta niezwykle sytuacja naszej Szkoły została bardzo wyraziście uwypuklona w poniższej wypowiedzi jednego z nauczycieli Szkoły, kol. **Franciszka Trojnar**:

„Szkoła Spółdzielcza dla Dorosłych działała w dramatycznym okresie dziejów społeczeństwa polskiego w XX wieku. Naród pozostawał pod okrutną dominacją okupanta niemieckiego. Budziło to w nim zrozumiałe opór, podejmowany w imię własnej godności i zachowania własnej tożsamości. Przejawiał się głównie w formie partyzanckich działań zbrojnych oraz zakonspirowanej działalności w różnych formach życia społecznego. Wszelki ujawniony opór pociągał za sobą okrutne, często tragiczne w skutkach represje i to niejednokrotnie w stosunku do wielkiej liczby osób zatrzymanych w czasie łapanek (odpowiedzialność zbiorowa). Działalność konspiracyjna – wojskowa, informacyjna (prasowa) oświatowa, polityczna itp. – była dość rozpowszechnionym zjawiskiem. Podobnie jak nielegalna działalność gospodarcza – zakazany ubój zwierząt, nielegalny handel mięsem, nabiałem, skórą itp. Życie pod okupacją niemiecką upływało w ciągłym napięciu i obawie przed bezwzględnyimi represjami.

Nie inaczej było również w przypadku Szkoły. Wprawdzie działała ona legalnie, ale przecież wiele przejawów jej życia wewnątrzszkolnego i internatowego miało charakter nielegalny. Już sam realizowany program nauczania wykraczał poza oficjalne ramy. Również w pozalekcyjnych zajęciach, dyskusjach itp. okupant mógłby się łatwo dopatrzeć wrogich dla siebie działań. Nigdy więc nie było pewności czy takie lub inne zakazane działania nie przenikną do jego wiadomości. Wśród grona pedagogicznego i młodzieży nie brak było osób należących do konspiracyjnych organizacji. Zawsze więc istniało niebezpieczeństwo czyjejs „wpadki”, co mogłoby grozić Szkole nieobliczalnymi wprost następstwami. Nawet pozornie spokojne życie szkoły było w istocie życiem na wulkanie, który nie wiadomo kiedy wybuchnie.

Wśród takich zagrożeń indywidualny konspirator był w lepszym położeniu niż Szkoła. Miał bowiem szansę często w ostatniej chwili uciec lub skutecznie się ukryć. Świadomość tego zagrożenia towarzyszyła Szkole, na co dzień, a zwłaszcza gronu pedagogicznemu, odpowiedzialnemu za całą Szkołę. W takiej atmosferze każda niepokojąca informacja, nawet fałszywa, każdy zaistniały w okolicy akt sabotażu, każde pojawienie się umundurowanego Niemca, wywoływała w Szkole nastrój niepewności i niepewności. W tych warunkach działalność Szkoły miała niekiedy charakter bardzo ryzykownej gry, w której stawką mógł być los nie tylko kierownictwa, ale i całej szkolnej społeczności. Stąd właśnie ta kilkakrotna zmiana

miejsca pobytu Szkoły (Zakrzówek – Bychawa – Zakrzówek – Sobieszyn – Brzozowa). Areszt groził bez wyraźnego naruszenia prawa – po prostu przy okazji rewizji w pociągach i na dworcach kolejowych lub w czasie ulicznych łapanek.

W tym okupacyjnym piekle cennym zjawiskiem była niezwykle solidarność Polaków. Wróg był wspólny. Dzięki temu możliwe było w Szkole zgodne współżycie uczniów różnych orientacji politycznych. Sprzyjały temu również wyznawane przez założyciela Szkoły, Pawła Chadaję i współpracujący z nim personel pedagogiczny, ideały demokratyczne, wolnościowe i tolerancyjne, stanowiące podstawy autentycznego ruchu spółdzielczego.

Tak było. Wiem to z własnego doświadczenia. Żyłem przecież w tym przeklętym piekle okupacyjnym i byłem uczniem naszej Szkoły.

2. Drugi powód, dla którego trzeba pamiętać o tej Szkole, to przeświadczenie, iż opisanie jej historii pozwoli na wydobycie jej losów z zapomnienia, co jest szczególnie ważne dla pokoleń urodzonych po wojnie. Przyczyni się także – i to jest bardzo istotne – do przedstawienia – jak gdyby w laboratoryjnym tyglu – jak była w tej Szkole realizowana idea spółdzielczości.

O spółdzielczości w skrócie

Trzeba więc przypomnieć, że spółdzielczość powstała w połowie XIX wieku w Anglii jako forma samoobrony ludzi biednych w warunkach wycisku ekonomicznego właściwego dla rozwijającego się kapitalizmu. W miarę rozwoju spółdzielnie przyjęły zasadę powszechności sprzedaży (nie tylko członkom) i stosowania średnich cen rynkowych. Z osiągniętych nadwyżek część przeznaczono na fundusze spółdzielni (rozwojowe i społeczne), część na zwroty dla członków „nadpłaconego” przez nich przy zakupach zysku oraz część na cele kulturalno-społeczne, według uznania członków.

Zofia Olszakowska-Glazerowa, kierowniczka Szkoły w czasie okupacji, po odejściu Pawła Chadaję, tak charakteryzuje zaczątki i rozwój ruchu spółdzielczego:

„Stowarzyszenia spółdzielcze znajdowały coraz więcej zwolenników, aż powstał ruch spółdzielczy. Jego dewizą było zaspokajanie potrzeb bytowych i kulturalnych swych członków w oparciu o współdziałanie. Spółdzielcy



Szkoła Spółdzielcza w Bychawie, nauczycielka Zofia Olszakowska, wówczas 26-letnia. Na ścianie hasło: Przez ideę spółdzielczą do zjednoczenia narodów

Fot. ze zbiorów Jadwigi z Luterków Cholewskiej i Mieczysława Kuna



Mieczysław Kuna

Urodził się 22.11.1922 r. w Bychawie. Po ukończeniu miejscowej szkoły powszechnej uzyskał dzięki staraniom nauczycieli tej szkoły stypendium umożliwiające pobyt w Lublinie i naukę w tamtejszym gimnazjum im. St. Staszica, która przetrwała wojna.

Przez cały okres okupacji M. Kuna przebywał w Bychawie. W tym czasie kolejno – był uczniem Szkoły Spółdzielczej, pracował sezonowo w miejscowej spółdzielni spóżywców oraz w końcowym okresie był zatrudniony w sekretariacie gimnazjum jako kancelista. Zajmował się również tajnym nauczaniem. Należał do Armii Krajowej.

W końcu lipca 1944 r. cofający się żołnierze niemieccy w odwecie za zamach na nich podpalił kilkanaście zabudowań w Bychawie, w tym również dom rodziców M. Kuna. Z tego powodu przeniósł się do Lublina, gdzie podjął pracę w tamtejszym urzędzie wojewódzkim jako pracownik biurowy.

Następnie przeszedł do pracy w Biurze Kontroli (ówczesna nazwa przedwojennej Najwyższej Izby Kontroli), a po przeniesieniu Biura do Warszawy (lutą 1945 r.) pracował w nim do 31 sierpnia 1948 r.

Od 1 września tego roku zatrudnił się w Ministerstwie Rolnictwa, gdzie przepracował 39 lat tj. do czasu przejścia na emeryturę.

W 1948 r. założył rodzinę, a w 1949 r. rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, ukończone stopniem magistra.

Należy do Polskiego Stronnictwa Ludowego. W ciągu 40 lat współpracował z redakcją tygodnika „Zielony Sztandar”, na łamach którego, jak i w korespondencji z czytelnikami, udzielał porad prawnych. Mieszka w Warszawie.

walczyli w ten sposób o poprawę swego losu, ale jednocześnie dawali wyraz dezaprobaty dla tezy kapitalistycznej, iż drogą do zapewnienia szczęśliwości społecznej może być tylko wyścig zysków i kapitał uzyskiwany poprzez bezwzględną walkę konkurencyjną.

Z czasem stowarzyszenia spółdzielcze rozprzestrzeniły się na wiele krajów i wyspecjalizowały w różnych formach działania, zgodnie z potrzebami swych członków. I tak poza spółdzielniami spóżywców powstały spółdzielnie rolnicze zaopatrzenia w środki do produkcji rolnej i zbytu produktów rolnych, mleczarskie, melioracyjne, ogrodnicze, a także spółdzielnie oszczędnościowo – pożyczkowe, mieszkaniowe, pracy i inne. W każdym stowarzyszeniu spółdzielczym obowiązują głównie zasady: dobrowolność członkostwa, samorządność (walne zgromadzenie członków, wybieralna rada nadzorcza i zarząd), demokracja (jeden członek = jeden głos, bez względu na liczbę posiadanych udziałów), zarządzanie spółdzielnią zgodnie z wolą członków i solidarność”. Zdaniem wielu zwolenników ruchu spółdzielczego – spółdzielczość jest niezbędną korektą ustroju kapitalistycznego, czego dowodem jest jej istnienie (i to w dużej skali z poważnym majątkiem) we wszystkich krajach Europy i w wielu krajach kapitalistycznych na innych kontynentach.

W Polsce już w początkach XX wieku we wszystkich zaborach powstawać zaczęły spółdzielnie spóżywców, a później spółdzielnie innych branż. Warto przypomnieć, że Bychawie dzięki instynktowi społecznemu i umiejętności oddziaływania księdza – społecznika Antoniego Kwiatkowskiego

Dokończenie na str. 2

Zapomniana reduta polskości w czasie okupacji

Dokończenie ze str. 1

już w roku 1906 powstała spółdzielnia spożywców „Jedność”, a nieco później zorganizowano na zasadach spółdzielczych Bank Ludowy, spółdzielnię mleczarską i inne.

Przed II wojną światową ruch spółdzielczy w Polsce był znanym i uznanym w szerokich kręgach społeczeństwa ruchem gospodarczo-społecznym. Stanowił on poważną siłę ekonomiczną i zrzeszał wiele tysięcy członków.

W naszej Szkole żyliśmy hasłami spółdzielczymi w idealnym kształcie. Te hasła wcieliśmy w życie w naszym środowisku jak najszerzej. Internat zorganizowany był jako spółdzielnia nauczycieli i uczniów. Podobnie sklepik z materiałami piśmiennymi, z tym, iż działał on na zasadach wzajemnego zaufania (tzw. sklepik duński). Nasza bogata działalność kulturalno – oświatowa również kierowała się duchem spółdzielczości.

Stąd też z wielkim bólem i rozżaleniem skonstatowaliśmy potem, że spółdzielczość nie znalazła sprzyjającego klimatu w systemie centralistycznym PRL-u.

„Podstawowe spółdzielcze cechy – pisze Olszakowska-Glazerowa – jak demokracja i samorządność zostały w okresie PRL-owskim podważone, ponieważ inicjatywę, decyzje i kierownictwo przejęły instytucje centralne – państwowe. I tak spółdzielnie i ich związki zostały włączone do aparatu państwowego, a wybór władz spółdzielni poddany został penetracji politycznej, z pogwałceniem zasad demokratycznych. Porządek twórczego działania został odwrócony – spółdzielnia, dotychczas samodzielna komórka lokalnej organizacji społecznej, stała się ostatnim ogniwem łańcucha sterowanego centralnie, pozbawionym właściwych jej cech społecznych. Pozostał tylko dawniejszy sztył.”

W taki to sposób ruch spółdzielczy w Polsce, okaleczony i odarty ze swych ideałów w okresie PRL-u, ma obecnie duże trudności z odnalezieniem siebie, z odrodzeniem się, tym bardziej, że przez władze państwowe traktowany jest co najmniej obojętnie, a nawet niezyczliwie.

Gdy więc patrzymy przez pryzmat wspomnień i nabyte z biegiem lat doświadczenie życiowe, to z rozczuleniem wspominamy teraz owe wyniesione ze Szkoły przekonania i wiary w spółdzielcze ideały. Wiary, że mimo olbrzymich trudności można, przy dobrej organizacji i dzięki rzetelnemu wkładowi wspólnego wysiłku, osiągnąć społeczne korzyści. Na własnym przykładzie przekonaliśmy się, że idea spółdzielczości to nie utopia.

Nasuwa się gorzka refleksja, że tę ideę w okresie powojennym sponiewierano i jej szczytne hasła zaprzepaszczono. Czy odrodzi się jak mityczny Feniks z popiołów, by ponownie zespolić rzesze indywidualnych spożywców i wytwórców dla obrony przeciwko rozpasanemu dzikiemu kapitalizmowi?

My, noszący w sobie przez kilkadziesiąt lat wszczepionego w Szkole bakcyla spółdzielczości, mamy wciąż nadzieję, że tak się stanie.

W części drugiej zaprezentujemy m. in. sylwetkę założyciela szkoły P. E. Chadaję

Ulice, domy, ludzie

Zamieszczamy drugi fragment wspomnień Tadeusza Grudnia, bychawianina z urodzenia, wieloletniego pracownika bankowego, głównie w Warszawie.

Byłem w rodzinie drugim dzieckiem, na półtora roku przede mną urodziła się siostra moja Florentyna, z którą razem chodziliśmy do szkoły. Młodszy bracia to Henryk i Władysław. Moje dzieciństwo przebiegało w dobrych warunkach, w domu był dostatek, otoczenie było przyjazne, nauka w szkole mnie i Florentynie szła łatwo. Życie nasze regulowały pory roku i okresowe prace związane z prowadzeniem gospodarstwa, ojciec poza pracą w gospodarstwie od czasu do czasu zajmował się dorywczo handlem.

W moich oczach i w mojej pamięci Bychawa była spokojną miejscowością. Ludność jej stanowili Polacy katolicy i żydzi. Mniejszość żydowska zajmowała całe centrum miasteczka, gdzie aryjskich sklepików było tylko kilka, a wszędzie rozlokowały się stragany i sklepiki żydowskie. Nie było wtedy antysemityzmu, ale Żydzi żyli w swojej odrębnej strukturze, stykając się z ludnością polską w zakresie handlu i różnych usług.

W czasie I Wojny Światowej w okolicy Bychawy toczono były wielkie walki. Sam pamiętam z tego okresu starcie zbrojne przed naszym domem, w wyniku którego zabitych było kilku Rosjan.

Na polach obok miasteczka znajduje się grobowiec, w którym pochowano wielu zabitych, ma on kształt ogromnego kopca charakterystycznego dla widoku okolicy. Przypominam sobie, że to są aż trzy kopce, w których podobno pochowano aż pięć tysięcy poległych żołnierzy.

Miasteczko żyło w trybie swojskości, nasza rodzina złożona z krewnych i spokrewnionych, była bardzo liczna, wszyscy się znali, nie było wtedy afer ani zbrodni, wielką rolę kulturową wiodła parafia. Mam dobre wspomnienia ze szkoły podstawowej, do której uczęszczałem do 1922 roku.

Bychawa była miastem targowym, dobrze pamiętam tłumy rolników z okolicznych wsi, którzy zjeżdżali się co tydzień dla sprzedaży produktów rolnych i zakupu rzeczy potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa. W każdą niedzielę i święta przyjeżdżały lub przychodziły do kościoła na sumę tłumy ludzi, parafia obejmowała sąsiednie wsie. W latach dwudziestych tylko kilku chłopów i dwie dziewczyny skierowane były do dalszego kształcenia się w mieście w szkołach średnich. Społeczeństwo patrzyło na nich życzliwie i oceniało korzystnie ich zamiary, że niektórzy sięgali po wyższy status społeczny.

Lata szkolne. Gimnazjum w Chyrowie

Moi rodzice podlegający tym nastrojom, oddali mnie w 1922 roku do zakładu naukowego o.o. Jezuitów w Chyrowie. Było to gimnazjum z internatem prowadzone przez zakon przy nielicznym tylko udziale nauczycieli świeckich. Szkoła miała charakter ekskluzywny, kształciły się tu dzieci głównie z rodzin ziemiańskich, bogatej inteligencji i czasem arystokracji. Zdałem egzamin w 1922 roku do drugiej klasy i znalazłem się w innym świecie, całkowicie różnym od drugorzędowego miasteczka prowincjonalnego, którego życie, rozwój i kultura były stłumione wieloletnią niewolą pod zaborem rosyjskim.

Zakład w Chyrowie był to ogromny kompleks budynków i własny folwark podarowany kiedyś zakonowi. Chyrów znajdował się wtedy na południowo-wschodniej granicy Rzeczypospolitej

Polskiej, obecnie poza granicami Polski. Za rzeką Strwiąż niedaleko od stacji kolejowej egzystowało jezuickie imperium. Uczniów było tam z pewnością koło trzystu, a zakonników i służby wieloletniej było drugie tyle. Wychowywani byliśmy w luksusowych warunkach, na jakie można było się zdobyć przy prowadzeniu konwiktu dla takiej wielkiej zbiorowości. Nawet buty do czyszczenia wystawiano się na noc przed sypialnią. Ponieważ uczniowie pochodzili z całej Polski, wyjazdy na święta i wakacje odbywały się w ten sposób, że zamawiane były wagony, którymi rozwożeni byliśmy do różnych miast pod opieką wychowawców, a w drodze powrotnej też wagonami. Ukończyłem gimnazjum klasyczne, łącząc uczyłem się od pierwszej klasy, a greki od trzeciej. Czytaliśmy w oryginale utwory antyczne, *Eneidę* i *Odyseję*. Maturę otrzymałem w 1928 roku. W tych latach kryzys opanował gospodarstwo w Polsce, opłaty za Chyrów były bardzo wysokie. Ojciec sprzedał ponad połowę posiadanej gruntu, abym mógł skończyć tę szkołę. Ponadto miałem przyznane zniżki w opłatach, dzięki wstawiennictwu ks. A. Kwiatkowskiego, a w końcowych latach udzielałem korepetycji słabszym uczniom z młodszych klas, dzięki czemu trochę dorabiałem do opłat.

W 1927 i 1928 r. udzielałem korepetycji Józiovi i Szczepanowi Kruczkom. Byli to synowie doktora Szczepana Kruczka i jego żony Wincenty, zamieszkałych w Dachnowie, koło Lubaczowa. Kilkakrotnie jeszcze jako uczeń byłem zapraszany do nich na święta i wakacje, a potem przez wiele lat studiując w Warszawie, przyjeżdżałem tam często, spędzając miesiące i tygodnie. Byłem traktowany jak domownik, wychowawca i korepetytor chłopców, towarzysz do zabaw i zajęć codziennych. Dom stał na wysokim poziomie kultury, typowej dla Polski będącej pod zaborem austriackim, był bogaty i zasobny, ze służbą. Doktor miał wielkie uznanie w okolicy, dzięki temu znalazłem się w środowisku miejscowej inteligencji, zamożnej, o dobrych manierach. Bardzo wiele zyskałem wtedy w zakresie wychowania, kultury codziennej, świadomości społecznej, dzięki tej atmosferze przewyższającej o wiele status małomiasteczkowy w Bychawie, z której się wywodziłem.

Studenckie czasy

W latach 1929-1930 byłem studentem Politechniki Warszawskiej. Zrezygnowałem wkrótce z tych studiów, gdyż okazało się, że ten kierunek, a był to Wydział Mechaniczny, całkowicie mi nie odpowiadał. Nie dawałem sobie rady z geometrią wykreślną, rysunkiem technicznym i innymi technicznymi ćwiczeniami. Powodem było i to, że musiałem sam się utrzymywać przez dawanie korepetycji, więc zbyt mało czasu mogłem poświęcić na naukę.

Przeniósłem się na Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego, studiowałem na sekcji Matematyki. Przez pierwsze dwa lata zdałem większość obowiązujących egzaminów i magisterski, potem studia sprawiały mi trudność, także z przyczyn materialnych. Musiałem bowiem sam się utrzymywać i opłacać szkołę za młodszego brata Władysława w Lublinie, pomagać też Matce po śmierci Ojca. Przyznam, że nie miałem motywacji, aby szyb-

Tadeusz Grudzień

Moje życie. Wspomnienia (cz. 2.)

ko kończyć studia, pędziłem więc typowe wesołe życie studenckie, mając też pomoc ze strony rodziny Kruczków. Miałem zamiar zrobić dyplom ze statystyki stosowanej, i do tego nie doszło, poza tym i ta dziedzina wiedzy nie bardzo mnie interesowała, skończyłem więc jako absolwent wydziału.

Prezesem Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie był wtedy dr Antoni Rząd. Pochodził on spod Bychawy i w tej rodzinie znalazłem w Warszawie wielkie oparcie. Przez długi czas przebywałem w ich domu i wiele przez to zyskałem.

Gdy wyjeżdżałem po maturze z Bychawy skierował mnie do niego nasz krewny Szymon Grudzień, jego kolega z lat szkolnych. Doktor Antoni Rząd, lekarz z wykształcenia, był cenionym człowiekiem, znanym i wysoko postawionym w życiu publicznym. Za carskich czasów był nawet członkiem Dumy Rosyjskiej. Bywając w domu Rządów znalazłem się blisko ekstraklasy politycznej oraz ziemiaństwa, gdyż przez swoją żonę z Kowerskich dr Rząd, spokrewniony był z rodami ziemiańskimi. Te kontakty i serdeczna pomoc zdecydowały o moim dalszym życiu zawodowym. Już dwa lata przed wybuchem wojny pracowałem w Banku Towarzystw Spółdzielczych.

c.d. w następnym numerze

Sprostowanie:
Przepraszamy za literową pomyłkę w nazwisku żony autora wspomnień: Oyrzanowska (nie: Ogrzanowska)



Lista członków nowego Zarządu BTR

W wyniku wyborów, przeprowadzonych na Walnym Zgromadzeniu w dniu 21 listopada 2006 r. w skład zarządu Bychawskiego Towarzystwa Regionalnego weszły następujące osoby:

- Prezes – Maria Dębowczyk
- Zastępca – Teresa Tracz
- Sekretarz – Barbara Cywińska
- Kronikarze – Monika Głazik
- Miroslaw Stoczkowski
- Skarbnik – Agnieszka Chemperek
- Rachunkowość – Wanda Solińska
- Członkowie Zarządu
- Zofia Sak
- Jerzy Podstawka
- Danuta Sprawka
- Komisja Rewizyjna
- Przewodnicząca – Halina Właszczyk
- Członkowie
- Wacława Sprawka
- Henryk Krajewski

Wigilia u babci Józki

Pachnący świerk wprost z lasu, na którym całą gromadką zawieszaliśmy choinkowe błyskotki, wykonane przez babcię, albo pod jej wszystkowiedzącym okiem: języki z kolorowej bibułki, orzechy włoskie owinięte w sreberko, wielka złota gwiazda z mieniącej się cynfolii. Dydający na gumce kogucik, jak żywy, choć z ziemniaka i zapalek, stroszył piórka z postrzępionej bibułki, dzieło rąk babcinych. Tak jak i bociek i wato-wy bałwanek z marchewkowym nosem. A wszystko to przetykane anielskim włosem i przyprószone „śniegiem” – ten ładzący udawała starannie owinięta na gałązki warstewka waty. Łańcuchy robiło się ze słomy i bibułki, wydmuszki z jajek zrobione na „babuszki”: naklejone oczka, języczki i śmieszne nozki.

Pod choinką czerwone jabłuszka z przydomowego sadu i cukierki – „szczypy” w pozłotku. Zapach i smak babcinego barszczyku (tylko na zakwasie, moja droga – upominała mamę babcia), grzyby i groch dodawane do kapusty, becza z kiszoną stała w komorze. I pierogi z kapustą i grzybami (czemu żadne potem nie miały dla mnie tego smaku?) Zapach oleju „pędzonego” specjalnie na „pośnik”. Na jednej patelni skwierczała ryba, a na drugiej obtoczona mąką dusiła się w śmietanie inna. I moje ulubione racuchy (poduchy! – pisały radośnie dzieci). Śledź beczkowy, wcześniej sprawiony i długo moczony z dodatkiem ziół. Ich zapach czuło się w komorze, gdzie wisiały na ścianie w lnianych woreczkach. Śledzie jadło się z ziemniakami „na cało”; polanymi olejem.

Bo w „pośnik” nie można było zgrzeszyć choćby zjedzeniem grama innego tłuszczu niż olej.

Jedna z izb w domu dziadków na przyjazd wnucząt w wigilię zamieniała się w stajenkę, ze zwyczajem rozkładania słomy na całej podłodze izby, nigdy potem się nie spotkałam. Był to raj dla baraszkujących do woli dzieci, aż zmęczone wrażeniami tego jednego wieczora usypiały na słomie, a babcia Józka podkładała im pod głowy jaśki.

Ale wcześniej było niecierpliwie wypatrywanie pierwszej gwiazdki. W rodzinnej tradycji przetrwała opowieść z wujkiem Frankiem w roli głównej, wówczas 6 – letnim brzdącem. Na prośbę babci wybiegał w zimową ciemność podwórka sprawdzić, czy pojawiła się pierwsza gwiazdka. Trochę to trwało, aż wreszcie wszyscy usłyszeli jego krzyk: jest! jest! zobaczcie! Dzieciaki z nosami przy szybkach okna zobaczyły lypiące nad stajnią światełko. Potem się wydało, że Franio przystawił do ściany stajni drabinę, wszedł na najwyższy szczebel i trzymał nad głową latarkę. Kiedy ta mistyfikacja wyszła na jaw (wuj Tosiek wrócił wkrótce z podwórka i stwierdził: ciemnica ani jednej gwiazdki) Franio pokraśniał i powiedział: Tę gwiazdkę ja zapaliłem, no bo stłasn timer głodny byłem!

Zapach babcinej wigilii mam pod powiekami, gdy patrzę na plastikowe „drzewko” mieniące się sztucznymi bombkami i usypiam z ciężkim brzuchem, wypełnionym wymyślnymi daniami, przy wtórze koleg płynących z ekranu telewizora. Wtedy babcia Józka z twarzą zarumienioną od ciepła paleniska, podkładała mi troskliwie pod głowę Jaśka.

L.